

LEON SAZIE.

## ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

28

Gdy połączono go z żądanym numerem, kazał swym pomocnikom przyjechać autemobilem po więźnia i wskazał człowieka z brygady, który miał zostać służącym Simonet'a. Potem zwrócił się znowu do związanego, który, zrozumiałwszy, że opór byłby daremny, zadowolił się tem, iż powoływał się na prawo, groził ministrowi skandalem i obiecywał, że ośmieszy Paulina Broqueta, publikując całe zajście w gazetach. Detektyw, nie zwracając najmniejszej uwagi na te groźby, założył mu na nogi kajdanki, poczem powoli i ostrożnie począł odwijać go z portiery. Wykręcił mu ręce w tył i nałożył kajdanki, połączwszy je łańcuszkiem z okuciem nóg. Gdy odwinął go zupełnie z portiery, rzekł z uśmiechem:

— Więc to ty pachniesz tak przyjemnie? Teraz dopiero wiem, kto tu jest uperfumowany.

Wziął się natychmiast do zrewidowania kieszeni. Znalazł kilka listów cyfrowanych, parę dokumentów z nagłówkiem ministerstwa spraw zagranicznych, które musiał ukrąść z biurka Simonet'a, który żywo się tem zaniepokoił — i wreszcie mały, kieszonkowy pulweryzator, napełniony znanymi perfumami hrabiny Wassowia.

— A! A! — rzekł detektyw — więc to przy pomocy tego przyrządu chciałeś zmylić ślady hrabiny i wprowadzić mnie w błąd!

Rzucił pulweryzator na łóżko rannego.

— Proszę, panie Simonet! Musi pan znać te perfumy, są zresztą bardzo przyjemne.

W tej chwili zadzwoniono. Przybyli pomocnicy detektywa.

— Odwieziecie tego człowieka do więzienia śledczego i każecie go zamknąć w specjalnej celi.

— Dobrze, panie szefie.

L'Amorce zbliżył się i szepnął do ucha Paulina Broqueta:

— Panie szefie, obstawiliśmy dom naszymi ludźmi.

— Dobrze! Dlaczego?

— Gdyż zauważyliśmy na ulicy hrabinę Wassowia, rozmawiającą z pewnym jegomościem, który wydał się nam podejrzanym. Jest to Amerykanin Will Wilson.

— Will Wilson! — rzekł detektyw, drgnawszy mimowoli. — Dobrze, moi chłopcy, miejcie się na baczności. Ja muszę tu pozostać jeszcze przez jakiś czas, nie skończyłem wszystkiego. A więc uwaga!

— Tak, panie szefie. Proszę być spokojnym.

— Jeszcze jedno, panie szefie — dodał L'Amorce. — Proszę przygotować pana Simonet'a, że czeka go wzruszająca wizyta.

— Czyja?

— Markiz don Izigo Martolo i hrabina Pepa d'Ortega za chwilę tu będą.

Paulin Broquet podskoczył.

— Markiz don Martolo, mówisz?

— Tak, panie szefie.

— A jednocześnie Will Wilson jest na ulicy?

— Tak, panie szefie.

— W takim razie, moi chłopcy, podwójcie, potrójcie uwagę! Wszystko mi mówi, że Zigomar planuje jakiś nowy zamach.

— Tu w domu? Na pana Simonet'a?

— Nie... Ale wiedzą, że ja tu jestem, uprzedziła ich o tem hrabina Wassowia. Muszą też już wiedzieć, że złapałem jednego z ich ludzi i że macie go stąd zabrać. I jestem pewny, że będą próbowali odbić go wam.

— Zle na tem wyjdą, panie szefie, przyrzekamy to panu.

Paulin Broquet rzekł twardym głosem:

— Czas już zacząć działać stanowczo, bez pardonu.

— Ach! nareszcie pan się zdecydował, panie szefie.

— Chwytają się noża przeciw tym, którymi się opiekujemy. Dostęć więc łagodnych środków! Moi chłopcy, jeżeli zajdzie potrzeba, strzelajcie, strzelajcie, walczyście w każdy sposób!

— Dobrze, panie szefie, tak będzie lepiej. Odwieziemy więźnia i powrócimy tu. Tymczasem dom jest strzeżony, jeden z naszych jest służącym pana Simonet'a, a w kuchni oprócz tego jest dwu ludzi.

— Dobrze, w drogę moi chłopcy!

Gabryel i L'Amorce podeszli do więźnia. Żeby zapobiedz krzykom, owinęli go na nowo w portyę,

zniesli go ze schodów, jak pakunek i umieścili w automobile, którym kierował Sidi.

Automobil z miejsca ruszył pędem.

## ROZDZIAŁ XVII.

Paulin Broquet powrócił do pokoju rannego.

— Panie ministrze — rzekł — mamy bardzo niewiele czasu. Wkrótce pan Simonet będzie miał gości, których nie można będzie nie przyjąć. Musimy się więc spieszyć, chcąc załatwić naszą sprawę.

— Dobrze, drogi panie. Niech pan pyta, Simonet gotów jest odpowiadać.

— Naturalnie, panie Simonet — zaczął detektyw — pan nie ma pojęcia, w jakim celu pana zraniono i kto to uczynił?

— Rzeczywiście. Była to dla mnie zupełna niespodzianka, notabene bardzo bolesna.

— Tak, jest to zagadka, którą staramy się rozwiązać. Czy pan jest, czy nie, kochankiem hrabiny d'Ortega...

Simonet poruszył się gwałtownie na łóżku i chciał coś powiedzieć. Detektyw powstrzymał go.

— To pana rzecz i my się do tego nie wtrącamy, niech pan mi pozwoli mówić. Więc czy pan jest, czy nie jest kochankiem hrabiny d'Ortega, to nie wystarczy, żeby człowiek tego rodzaju, jak baron de la Ronconlière, mógł pchnąć pana sztyletem...

— Jakto? Baron! Pan przypuszczasz, że to on?

— Wszyscy wiedzą, że baron jest zakochany w hrabinie i że stara się o jej rękę i miliony. Niemniej wszyscy wiedzą, że baron uważał pana za rywala, miał wyzwać pana pod jakimkolwiek pretekstem i zabić swym słynnym pchnięciem. Baron jest śmieszny, ale mimoto jest to człowiek honoru i jeśli z całym spokojem mógłby pana wyprawić na tamten świat w pojedynku, to nigdy nie zniżyłby się do pchnięcia sztyletem.

— Jestem tego pewny — oznajmił Simonet.

— Jednakże posadzono go w operze zaraz za panem.

— Żeby mnie zamordował?

— Nie, lecz żeby podejrzenie na niego padło.

— Ależ to podłość!

— Nie, to głupota.

— Jakto?

— Zaraz się pan o tem przekona. Przedtem jednak musi mi pan odpowiedzieć na parę pytań.

— Słucham pana.

— Co pan obiecał, w swoim biurze w ministerium, między dwoma pocałunkami, hrabinie Wassowia?

Simonet zaczął się śmiać.

— Więc pan wie o tem. Jak widzę, nic nie ujdzie pańskich oczu i uszu. O ile wiem jednak, panie ministrze, prawo nie zabrania całować?

— Istotnie. Jednakże wróćmy do rzeczy.

— Hrabina chciała być na galowem przedstawieniu w operze. Nie mogła jednak dostać biletu, zwróciła się więc do mnie z prośbą i ja jej to obiecałem.

— Doskonale! — rzekł Paulin Broquet. — Więc wtedy, gdy spotkała pana w korytarzu, prowadzącym do łóż, dziękowała panu za spełnienie obietnicy.

— Więc pan i to widział? Tak, czekała tam na mnie specjalnie, żeby mi podziękować.

— Doskonale! — powtórzył detektyw. — Teraz drugie pytanie: Co zawierały kieszenie pańskiego fraka? Proszę odpowiadać prosto.

— Z jednej strony pugilares, z drugiej chustkę.

— I więcej nic? Napewno?

— Tak jest, nie można przecież wypychać kieszeni fraka, jeśli się chce przyzwoicie wyglądać. Więcej nic nie miałem w kieszeniach.

Minister podniósł się z fotela i zbliżył się do łóżka, mówiąc ze wzruszeniem:

— Tylko to, mój drogi Simonet, mój kuzynie? Nic więcej?

— Ależ tak, panie ministrze — odparł Simonet, poruszony tą natarczywością pytań.

— Czy pan może na to przysiąc? Może pan dać słowo honoru?

— Przysięgam na honor, panie ministrze.

Pan Desbois Billy uściśnął mocno dłoń chorego.

— A! — rzekł — nie ma pan pojęcia, jak jestem szczęśliwy, słysząc to.

— Ale dlaczego? Nic nie rozumiem. O co tu chodzi?

— Dlatego — odparł minister — że w kieszeni pańskiej Paulin Broquet znalazł dokumenty, które przed paru dniami przywiózł z Londynu p. Ewans. Simonet zadrżał.

— To niemożliwe! — zawołał. — To niemożliwe! Zamknąłem je przecież w żelaznej szafie.

— Niech się pan uspokoi. Nikt nie wątpi o pań-

skiej niewinności. Ale fakt jest stwierdzony. Chciano pokazać nam, że pomimo aresztowania Raynanda, można wykraść dokumenty z ministerium i że to pan właśnie tem się zajmuje.

— Co za podłość!

— Dlatego też zraniono pana, żeby przy tej sposobności mogli się ludzie dowiedzieć o pańskiej zdradzie.

— To straszne!

— Ale Paulin Broquet jeszcze raz popsul im szyki. Nie był w stanie obronić pana od uderzenia sztyletu, ale ocalił pana honor, zabierając z pana kieszeni kopertę z dokumentami, którą tam tak zrecznie wsunęła hrabina Wassowia, dziękując panu za bilet do opery.

Dwie łzy spłynęły po policzkach Simonet'a.

— Ach! panie ministrze, popełniłem błąd, przyjmując tę kobietę w moim biurze w ministerium. Miałem poleconą sobie opiekę nad dokumentami. Dokumenty te skradziono, gotów jestem ponieść zasłużoną karę. W każdym razie natychmiast podam się do dymisji.

— Której nie przyjmę, mój drogi Simonet. Pozostawię pana przy sobie i to będzie jedyna kara.

— Jednakże dokumenty skradziono...

Tu wtrącił się do rozmowy Paulin Broquet.

— Tak, panie Simonet, ale te dokumenty są bez wartości. Muszę się wytłumaczyć. Gdy towarzyszyłem panu Ewans w podróży z Londynu, skradłem mu dokumenty i na ich miejsce podłożyłem inne. Oryginały są u mnie, w dobrym schowaniu.

Zwracając się do ministra, dodał:

— Daruję mi pan, panie ministrze, że nie zawiadomiłem pana o tem natychmiast. Ale jutro M. Ewans, któremu je zwrócę, wręczy je panu, panie ministrze. Zmieni się zamki w żelaznej szafie i dokumenty będą bezpieczne. W taki sposób Paulin Broquet, którego uważają za zwyciężonego, poradził sobie z Zigomarem i jego znakomitym współnikiem, Mac Binkertonem!

W tej chwili wszystkim obecnym wydało się, że dom zadrżał w posadach.

— A! — rzekł Paulin Broquet. — Doskonale! To kapitan de La Rochardie. Posłałem po niego. Teraz pan Simonet będzie dobrze strzeżony.

W tej chwili do pokoju wpadł, jak bomba, kapitan, za nim wszedł spokojny Montgomery. Kapitan przybył galopem wprost z pola musztry, przypuszczając, że jego przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo. Gotów był rąbać wszystkich. Paulin Broquet rzekł:

— Chodzi o to, żeby panowie pozostali tutaj przez cały czas, kiedy będą tu bawili odwiedzający chorego.

— A kto teraz ma odwiedzić Simonet'a?

Nowy lokaj w tej chwili zameldował:

— Hrabina d'Ortega i markiz don Martolo zapytują, czy mogą być przyjęci.

Simonet okazał zdziwienie i niepokój.

— Niech pan ich przyjmie — rzekł minister — teraz, kiedy pan już wie o wielu rzeczach, niech pan udaje zupełnie nieświadomego.

Uściśnąwszy mocno dłoń swego kuzyna, wyszedł.

Paulin Broquet odprowadził go do drzwi. Tu pożegnał się z ministrem, obszedł całe mieszkanie, dał instrukcje swym ludziom na wypadek nowego zamachu na Simonet'a, poczem, uspokojony, udał się do biura sędziego śledczego po uprawomocnienie aresztowania wicehrabiego, który został przyłapany na szpiegowaniu Simonet'a.

## ROZDZIAŁ XVIII.

Automobil, w którym Gabryel i L'Amorce więźli uwięzionego, pędził przez ulice Paryża, jak szalony. Sidi tak tylko lubił jeździć, twierdził, że szaleńcami sam Bóg się opiekuje. Obok niego siedział jeszcze jeden człowiek z brygady, przydany na wypadek niebezpieczeństwa. Trzymał się mocno, nie kryjąc zresztą obawy, przy ryzykownych zawrotach, gdzie automobil zdawał się toczyć na dwu kołach. Sidi, śmiejąc się radośnie, zadowolony z szalonej jazdy, wołał co chwila:

— Nie bój się, mój stary, wszystko będzie dobrze.

Jadąc wciąż szalonym tempem, dotarli do mostu au Change.

— Za dwie minuty będziemy na miejscu — rzekł Sidi, śmiejąc się — i schowamy dobrze tego hultaja.

Nagle zaklął straszliwie, skrzył gwałtownie i zadrżał tak, że gruszka gumowa pękła mu w rękę. Byli w środku mostu. Jakiś siwy, zgarbiony jegość z paczką książek pod pachą, jakiś roztargniony profesor, wie widząc nic i nie słysząc, chciał przejść przez most w poprzek i znalazł się na drodze automobilu, pędzącego z szaloną szybkością. Sidi wyła-